

## **Pamiętnik zawierający szczegóły długiego życia**

### **Część II-ga**

Pamiętnik zawierający mój wiek dziecięcy, młodzieńczy i dalej do wybuchu  
I wojny światowej

#### **Rozdział 1**

Lata dziecińne i późniejsze w domu rodziców

[...]

[45]

[...]

#### **Rozdział 2**

Praca biurowa. Opuszczenie domu rodzinnego.

W początku maja 1900 roku – dalszy krewny, syn stryjeczny brata mojego ojca Karol Truskolaski, będący pisarzem gminnym w sąsiedniej gminie Kowalewczyna, kancelaria gminna była we wsi dużej włościńskiej Jeńki, w odległej o 2 km od Kościelnej dużej wsi Waniewo, położonej na wzgórzu nad rzeką Narwią, na prośbę ojca zabrał mnie na praktykę biurową, bo miałem zamiłowanie do pisania. W wolnych godzinach przepisywałem różne pieśni, stale zajmowałem się czytaniem różnych książek i pisaniem. Przyjechał po mnie około godziny 10 specjalną furmanką stoikową. Zajechawszy, byłem bardzo onieśmielony i czułem się bardzo dziwnie, inaczej jak w domu, ponieważ od urodzenia byłem stale w domu przy rodzicach i licznym rodzeństwie. Nigdzie poza wyjazdem z ojcem na jarmarki i odpusty do okolicznych miejscowości nie bywałem.

Kancelaria gminna mieściła się w jednej niedużej izbie, w starym drewniano-murowanym domu wiejskiego żyda handlarza Chilka Żółtego, w którym to domu poprzednio była karczma przydrożna, jako przy głównym trakcie Tykocin – Łapy – Suraz. Przy tejże izbie kancelarii było szczupłe mieszkanie sekretarza i pomocnika, stołującego się u p. sekretarzowej.

Pracy biurowej było bardzo dużo i była ona inna od pracy na gospodarstwie w domu, gdzie trzeba było wstawać o wschodzie słońca, a zimą przed świtem, a tu panowie pisarze wstawali około godziny 7 rano. Praca nie ciężka, zawsze czysto ubrani i żyli dużo lepiej jak chłopci na gospodarstwach rolnych. Sekretarz gminny był największym dygnitarzem w takiej wiejskiej gminie jak gmina Kowalewsczyzna, w większości i najbardziej włościańska w całym powiecie. Inne tam były zwyczaje i nawet inna, odmienna mowa zaciągająca gwarą Białorusinów z terenu zaraz za Narwią powiatu Białostockiego.

Sekretarzem gminnym był wówczas p. Stanisław Hryniewiecki pochodzący rodem z Sokołowa Podlaskiego, młody 27-letni, przystojny, wesoły i energetyczny, dosyć zdolny i sympatyczny. Wójtem był Ignacy Stypułkowski, szlachcic wła-

[46]

-ściciel większego gospodarstwa rolnego, części majątku podworskiego Jeńki Romanowo. Był mało uczony, ledwie umiał podpisać się i przykładał pieczęci na wszystkich podpisujących papierach, a pieczęć urzędową nosił w kieszeni spodni.

Ludność włościańska, czyli chłopska, wywodziła się z dawnych niewolników, później pańszczyźnianych robotników dworskich należących do byłych dużych majątków, tzw. dworów jak Kowalewsczyzna hrabiów Roztworowskich, Kurowo duży dwór z obszarami łąk i pól przylegających do rzeki Narwi, Jeńki-Adamowo, Jeńki-Romanowo, Waniewo i Wólka oraz Krzyzewo. Dziwaczne nazwiska chłopów jak: Mojsa, Dziejma, Dziemian, Koczta, Janeczko, Dawidko, Ostapko, Smolejko, Bokiniec itp.

Jedyna w powiecie parafia chłopska Waniewo, duża wieś kościelna nad samą Narwią, położona, niegdyś jak teraz podają kroniki Białostoczczyzny było miasto, które wskutek niesprzyjających okoliczności i zniszczenia wojną szwedzką oraz pomorem podupadło i utrzymało się jako miasto lub osada. Kościół na wzgórzu murowany z jedną wieżą, nie bardzo duży, widoczny z dalekich okolic poza Narwią.

Proboszczem był wówczas stary ks. Krzypkowski Paweł, który wprędce zmarł w miesiącu październiku tegoż 1900 roku, a wikariuszem był młody ksiądz

Bruszewski Ignacy, rodem z Ićk-Średnich parafii Sokoły, który później po I wojnie światowej był tam proboszczem prawie do śmierci.

Sekretarz i Wójt nie mieli tam dużo roboty. Wójt posiedział w kancelarii z godzinę, popodpisywał papiery i poszedł do swego gospodarstwa. Sekretarza zaś wyręczał we wszystkich pracach biurowych pomocnik, dosyć zdolny i obeznany we wszelkich pracach biurowych, mój dalszy krewny Karol Truskolaski.

Wójt i sekretarz jako myśliwi urządzali polowania, również był myśliwym i należał do ich towarzystwa nauczyciel z Waniewa, Grzybowski. Namówili do tegoż towarzystwa i młodego księdza Bruszewskiego, któremu ułatwili wyrobienie zezwolenia na broń myśliwską i prawo polowania, przy tej okazji urządzali towarzyskie przyjęcia, oczywiście z użyciem trunków alkoholowych, które używała dla towarzystwa i pani sekretarzowa, młoda, dosyć ładna i przyjemna, inteligentna, bo pochodziła rodem z Sokołowa, córka jakiegoś urzędnika. Przy takiej okazji p. sekretarzowa i mnie poczęstowała wódką dobrze zaprawioną.

Na odpust parafialny św. Anny przypadający 26 lipca w Waniewie przejechał pan sekretarz biura powiatu w Wysokim Mazowiecku Średnicki z całą rodziną: żoną, dwiema córkami dorastającymi i synem uczniem

[47]

gimnazjum w Łomży, i dwoma kolegami sekretarzami gminnymi. Wszyscy po nabożeństwie w kościele przyjechali do państwa sekr. Hryniewieckich. Była suta libacja i gra w karty prawie do rana. Przyjęcie odbywało się w izbie Urzędu Gminy, aby nie sprofanować urzędu portret cesarza Mikołaja II był zdjęty ze ściany i postawiony przy ścianie na podłodze odwrotną stroną.

Pani gospodyni mocno podchmielona zachęcała i mnie nieśmiałego, abym pił i jadł, napełniając kieliszki. Pierwszy raz byłem w takim towarzystwie Panów, w którym picia wódki i piwa było za dużo, aż na drugi dzień bolała mnie głowa.

Do kościoła chodziłem w każdą niedzielę i święta, a w czasie oktawy Bożego Ciała co dzień na nieszpory. Chór i śpiewy były tam dosyć ładne, lepiej śpiewali jak w Sokołach. Lato w owym roku było niezwykle suche, mało deszczów, co spowodowało wyschnięcie błot i moczarów szeroko tam rozległych,

w niektórych miejscach na parę kilometrów po obu stronach koryta rzeki, czego nie bywało, jak słyszałem od kilkunastu, a może i więcej lat.

Do kościoła zamiast okrężną drogą można było chodzić prosto przez te błotne obszary, skracając o połowę drogę. Po tych błotnych terenach chłopci jeździli wozami, sprzątając dobrze suche siano, kiedy zawsze w innych latach można było tam wjechać tylko w czasie dużych mrozów, po zamarznieniu rzeki i tych obszarów.

Ze wzgórza koło domu Urzędu Gminy roztaczał się ładny widok na rzekę i całe błotne obszary, na których na kilka kilometrów w górę rzeki, aż do zakrętu i mostu na szosie, koło wsi Bokiny widać było setki, a może i więcej, około tysiąca stogów siana. Pewnego dnia w końcu lipca czy sierpnia tegoż 1900 roku po przeszłej burzy obfitej w wyładowania atmosferyczne, obserwując burzę odeszłą w tamtym kierunku, widziałem, jak od uderzenia pioruna zapalił się stóg siana. Buchnął w górę słup dymu, lecz zaraz po upływie może 1 minuty uderzył drugi piorun i zagasił. Kiedyś takie wypadki słyszałem z opowiadania, czemu trudno było uwierzyć, lecz wówczas widziałam własnymi oczyma.

Początki pracy biurowej, jak wszystko nowe, były trudne, lecz stopniowo, mając dobre chęci i zamiłowanie do takiej pracy, przyzwyczaiałam się, poznałam tę pracę i nauczyłam się tak, że po paru miesiącach już coś umiałem i mogłem wykonywać obowiązki pomocnika sekretarza, czyli młodszego pisarza gminnego. W czasie praktyki sekretarz zabierał mnie kilka razy na czynności w terenie gminy, do wsi Kropiwnica i innych na opis i omierzenie nowych budynków do ubezpieczenia, bo wówczas, przed utworzeniem i powołaniem do życia urzędów wzajemnego obo-

[48]

wiązkowego ubezpieczenia budynków w guberniach Królestwa Polskiego ubezpieczenia budynków dokonywały urzędy gminne, czyli wójtowie. Jeździłem także z młodszym pisarzem na różne czynności.

Raz z sekretarzem jeździłem do Łap, pierwszy raz zobaczyłem dużą stację Łapy, różne gmachy i warsztaty kolejowe i ruch pociągów i parowozów tam w

warsztatach naprawianych. Do Łap często trzeba było jeździć, bo gmina należała do poczty Łapy i po różne sprawunki i zakupy na potrzeby życia.

Wszelka korespondencja, księgi ludności, księgi kasowe, rejestry i wszelka korespondencja musiała być prowadzona wyłącznie w języku rosyjskim, nawet wszelkie polecenia, wykazy i nakazy do sołtysów były pisane po rosyjsku. Toteż do tego języka rosyjskiego urzędowego niełatwo było przyzwyczać się, wiele wyrazów było niezrozumiałych. Mimo braku etatu otrzymywałem za pracę pomocniczą po 3 ruble miesięcznie z łaski wójta i sekretarza. Wójt i sekretarz otrzymywali po 15 rubli miesięcznie zasadniczej pensji, a pomocnik sekretarza 10 rubli. Sumy takie równały się wówczas wysokości mniej więcej obecnie 1000 zł. Buty wówczas kosztowały 2–3 ruble, a ładne eleganckie 5 rubli. Prócz tej pensji zasadniczej wójt i sekretarz mieli takie sumy dodatkowe za prowadzenie kasy pożyczkowo-oszczędnościowej. Takie kasy były we wszystkich gminach, dobrze prosperowały i były dobrodziejstwem dla gospodarzy rolników, którzy wpłacali swoje oszczędności, czyli wszelką gotówkę i kapitały na procenty – 6% od sta, zaś inni potrzebujący wypożyczali za potrąceniem, czyli opłacaniem 8% od sta rocznie. Jeżeli pomagał prowadzić kasę pomocnik, to też otrzymywał wynagrodzenie. Codzienne stołowanie u p. sekretarzowej kosztowało 5 rubli miesięcznie, więc do otrzymywanych trzech rubli dwa ruble trzeba było dopłacać.

Po 6 miesiącach tej praktyki, na skutek złożonego podania własnoręcznie, ładnie, kaligraficznie napisanego, bo wówczas tylko ładny charakter pisma był brany pod uwagę – do naczelnika powiatu, które poparte zostało przez sekretarza powiatowego, który był na odpuszcie i w gościnie u sekretarza w Jeńkach, otrzymałem pewnego dnia w początku listopada 1900 roku nawet niespodzianie nominację na pomocnika sekretarza gminy Wysokie Mazowieckie, największej gminy w powiecie, do której należała osada powiatowa, dosyć duża, później miasto Wysokie Mazowieckie, nazwane po rosyjsku “Mazowieckim” – licząca około 4 tysięcy mieszkańców (żydów około 2,5 tysiąca i około 1,5 tysiąca Polaków), osada Jabłonka i 48 większych i mniejszych wsi. Cała kuleska parafia, prawie cała

parafia Wysokie Mazowieckie i ponad połowę parafii Jabłonka.

Trochę z radością i trochę z niechęcią odniosłem się do tej nominacji, a było to pismo od naczelnika powiatu do wójta gminy Sokoły, polecające oznajmić mi treść nominacji z poleceniem stawienia się niezwłocznie do pełnienia obowiązków pracy, bo w podaniu podałem adres rodzinnej wsi Truskolasy Stare. Pismo przesłane było przez Urząd Gminy Sokoły do Urzędu Gminy Kowalewsczyzna przez specjalnego posłańca. Otrzymawszy takową wiadomość, poszedłem zaraz do domu i następnego czy też trzeciego dnia, ojciec zawiózł mnie do Wysokiego Mazowiecka z pościelą i łóżkiem żelaznym, i małym kuferkiem z bielizną i niezbędnymi rzeczami.

W urzędzie gminy zastałem wójta i sekretarza nieznanymi mi zupełnie. Po przedstawieniu się im dowiedziałam się, że i ten mój kuzyn z gminy Kowalewsczyzna Karol Truskolaski przeniesiony został niespodzianie przez naczelnika powiatu do tejże Gminy Wysokie Mazowieckie na starszego pomocnika, a ja na drugiego, co ucieszyło mnie, że łatwiej pójdzie mi praca.

Kancelaria Gminy mieściła się w małym drewnianym domku, będącym własnością wójta, który prawie cały był zajęty na kancelarię. Jedna nieduża zwykła izba i alkierz z częścią odgradzającej ściany stanowiła kancelarię i zarazem archiwum różnych starych akt i ksiąg oraz dowodów do ksiąg ludności w oddzielnych skrzynkach. Wejście do kancelarii było z sieni, za którą była mała świetała, czyli pokoik, w którym stał magiel pana wójta. Ten właśnie pokoik był przeznaczony na mieszkanie dla nas, panów pisarzy niepochozących z miejscowej ludności.

Na drugi czy trzeci dzień po moim przyjeździe przyjechał starszy pomocnik Karol Truskolaski i razem zamieszkaliśmy w tym pokoju, po usunięciu magla i czuliśmy się tam dobrze, bo mieliśmy blisko do kancelarii. Nie trzeba było gdzieś daleko po błocie chodzić. Stołowanie całodzienne zgodziliśmy u stróża, a raczej jego żony – jak obecnie nazywają woźnego tejże kancelarii, w którym był Rosjanin-prawosławny Lulewicz, były strażnik, czyli policjant carski, żandarm, kulawy, na półsparaliżowany, który jak dowiedziałem się później, doznał paraliżu, czyli choroby nieuleczalnej od czasu jak będąc strażnikiem musiał być

posłany władzom carskim – wyjął z ołtarza w Hodyszewie obraz cudami słynący Matki Boskiej Hodyszewskiej, który wprędce po klęsce powstania styczniowego był wywieziony gdzieś daleko w głąb Rosji, gdzie był ukryty i w jakimś klasztorze czy cerkwi przetrwał szczęśliwie rewolucję i najgorsze prześladowania religijne i za staraniem zządu polskiego po wskrzeszeniu niepodległości i prezydenta Woj-

-ciechowskiego został odnaleziony i przywieziony do Polski i znajduje się na dawnym miejscu w kościele w Hodyszewie, dokąd udają się pielgrzymki z dalszych i bliższych okolic tutejszej ziemi łomżyńskiej.

Kościół w Hodyszewie był zamieniony na cerkiew prawosławną i dopiero po ucieczce z Polski moskali stał się znowu świątynią katolicką ze słynnym cudownym obrazem, a przymusowi prawosławni-unicy stali się gorliwymi katolikami. Ten właśnie bohater Lulewicz, popierany przez władze carskie, był stróżem w tej kancelarii i w niej nocował, sypiał jako nocny stróż kasy gminnej i pożyczkowo-oszczędnościowej, a mieszkał z żoną katoliczką i dziećmi prawosławnymi w małej światełce bez podłogi w takimż małym drewnianym domku, obok.

Stołowanie całodzienne, dosyć skromne kosztowało 6 rubli miesięcznie, stołowaliśmy się u tej p. stróżowej tylko 2 miesiące – listopad i grudzień, a później ten mój kuzyn przywiózł swoją siostrę Marysię, która gotowała i prowadziła gospodarstwo i chodziła uczyć się szycia. Wyuczyła się na dobrą krawcową i wyszła po paru latach za męża. Brat jej Karol Truskolaski po kilku latach był sekretarzem gminy w powiecie Ostrów Mazowiecka do wybuchu I wojny światowej i w czasie wojny. Po wojnie był sekretarzem magistratu Wysokie Mazowieckie, a później pracował stale do przejścia na emeryturę w Urzędzie Skarbowym w Białymstoku, dożywał na własnym gospodarstwie, które nabył w Płonce Kozłach koło Płonki Kościelnej w pobliżu Łap i tam umarł kilka lat temu.

Syn jego był już teraz po II wojnie światowej powiatowym sekretarzem-weter. w Wysokiem Mazowieckiem – zmarł kilka lat temu od wypadku – upadku z własnego konia, czyli zabity przez swego konia, którego bardzo lubił.

Wójtem gminy Wysokie Mazowieckie był Moczydłowski Bronisław, były organista w tymże Wys. Mazowiecku, był dosyć energiczny i zdolny, biegłyjszy ze wszystkich w sprawach kancelaryjnych od sekretarza, jedyny w całym powiecie, a może i guberni taki mądry wójt, który sam prowadził księgi i całą księgowość Kasy Pożyczkowo-Oszczędnościowej, która już wówczas, kiedy zacząłem tam pracować, była duża – obrót około 200 tysięcy rubli. Sekretarzowi tylko tam coś przy operacji czynności kasowych dyletował i zlecał mniej ważne prace. Ten pan wójt zdobył sobie zaufanie u gminaków, wszyscy go lubili i uważali. Po upływie trzyletniej kadencji wybierany był przez ogół Gminy jednogłośnie na dalsze trzechlecie. Miał уваżanie i zdobył sobie popularność u władz powiatowych u najwyższego dygnitarza – Naczelnika Powiatu miał уваżanie i fory, który bywał u niego na przyjęciu, czyli w gościnie,

[51]

bywali także inni dygnitarze jak Komisarz do spraw włościańskich, prawie równy Naczelnikowi powiatu, a który miał, czyli sprawował nadzór nad Kasami Pożyczkowo-Oszczędnościowymi w całym powiecie.

Później, po kilku latach, kiedy już nie pracowałem w tamtejszej gminie ten wójt zachorował i umarł w roku 1907. Po jego śmierci przy sprawdzaniu, czyli rewizji Kasy, okazał się brak w Kasie pieniędzy kilkanaście czy więcej tysięcy rubli – duże wykryto nadużycia na szkodę wielu gospodarzy. Komisarz wysoki wówczas dygnitarz, jakim był niejaki Fiedorow, żyjący bogato nad stan, który pewnie korzystał z Kasy, bo zawsze na zebraniach wychwalał wójta jako jedyne w powiecie, który tak wzorowo prowadzi Kasę i dzięki jego pracy Kasa się rozwija i ma coraz większe obroty – zwolniony został z zajmowanego stanowiska i oddany pod Sąd. Sprawa była sądzona przez Sąd Apelacyjny w Warszawie (Izba Sądowa) jako pierwsza instancja, bo Sąd Okręgowy w Łomży nie był w kompetencji sądzić takiego dygnitarza – 26 maja 1910 roku, sądziła się cały dzień, zeznawało około 20 powołanych świadków, w ich liczbie byłem i ja – zeznawali między poszkodowanymi gospodarzami i różni panowie urzędnicy, między innymi były naczelnik powiatu w randze pułkownika pan Koptiew sztab oficer przy Gubernatorze łomżyńskim – którym był baron Korf, późniejszy



gubernator w Warszawie, do wybuchu I wojny światowej, a który jako Niemiec po wybuchu wojny, główne papiery i plany i 800 000 rubli zabrał i uciekł do Niemiec urzędową limuzyną. Wysoki Sąd składał się wyłącznie z Rosjan i pan komisarz został uniewinniony – dostał lepszą posadę Komisarza w Lublinie. Wszelka wina została zwalona na nieżyjącego wójta.

Pan wójt Moczydłowski był wysokiego wzrostu, dosyć przystojny i sympatyczny, posiadał spore gospodarstwo rolne na terenie Wys. Mazowiecka, około 15 morg. Naprzeciw Kancelarii, po drugiej stronie ulicy Długiej – prawdziwie długiej, bo mającej od Rynku do końca około 2 km długości – miał dom nieduży drewniany – cały przez siebie z rodziną zamieszkały – spory sadek owocowy i dalej w głębi siedliska zabudowania gospodarskie kryte słomą. Za domkiem mieszczącym kancelarię gminną znajdowała się oficyna drewniana przylegająca do tego domku, w której mieścił się areszt gminny i zarazem powiatowy, mający trzy oddzielne cele: jedna główna z oknem zaciemnionym blachą podziurawioną, aby przez okrągłe nieduże dziury przechodziło do wewnątrz cokolwiek światła, w której przebywali aresztowani, czyli więźniowie śledczy i oczekujący rozpraw przez Sądy Gminne, druga dla odsiadujących kary aresztu, trzecia dla kobiet, a czwarta izba dyżurna dla stróżów aresztu, których było stale dwóch. Za tym aresztem i podwórzem do furmanek stojkowych znajdował się duży warzywno-owocowy ogród pana wójta.

[52]

Powiatowa osada Mazowieck, tak się zawsze nazywało urzędowo za czasów niewoli carskiej i powiat Mazowiecki, niedużo różniła się od osady Sokoły, miała 7 ulic, duży rynek, na środku którego był stary dosyć duży murowany piętrowy dom z oficyną i zabudowania, stanowiący własność jakiegoś bogatego żyda zamieszkałego w Białymstoku, w którym mieściły się z dawna biuro powiatu na parterze, a na piętrze mieszkanie Naczelnika Powiatu, najwyższego dygnitarza w całym powiecie, do którego należało 9 gmin wiejskich i 10-ta gmina miejska, czyli miasto Tykocin. Pan Naczelnik zajmował kilkanaście pokoi, we frontowej części oficyny były sklepy żydowskie.

Biuro powiatu składało się z czterech wydziałów: sekretariat, wojskowo-policyjny, finansowy i miejski oraz Kancelaria Naczelnika Ziemskiej Straży, czyli naczelnika policji. W całym biurze powiatu było zatrudnionych około 15 urzędników. Inne powiatowe urzędy jak Komisarz do Spraw Włościańskich, Kasa Skarbowa i inne mieściły się oddzielnie w domach prywatnych. Był powiatowy lekarz, powiatowy lekarz weterynaryjny. W rok później powstał powiatowy urząd (taksator) ubezpieczeń. Domy na około rynku były małe, parterowe, drewniane, rzadko murowane. Ulice Długa i Kościelna i częściowo inne zamieszkałe były przez rolników, których domy niczym nie różniły się od chat wiejskich, kryte przeważnie słomą.

Kościół był murowany, dosyć duży i ładny, niedawno pobudowany z dwoma nie bardzo wysokimi wieżami w odpowiednim wzgórzystym miejscu, nieuszkodzony w czasie wojen, pod wezwaniem świętego Rocha. Na odpust Św. Rocha 16 sierpnia corocznie przybywało mnóstwo wiernych z całego powiatu i bardzo dużo najrozmaitszych dziadów, różnych kalek, jakich nie spotykało się na innych odpustach, którzy nadzwyczajnymi głosami wołali o jałmużnę do przyczyny świętego Rocha.

Była w Mazowiecku i mała cerkiew prawosławna przy ulicy Długiej, z dosyć dużym ogrodem schludnie utrzymanym dla garstki prawosławnych urzędników Rosjan, bo naczelnik powiatu, jego pomocnik, czyli zastępca, naczelnik ziemskiej straży w randze kapitana, naczelnik poczty z pomocnikiem, dwoma pocztylionami i stróżem, dwóch żandarmów powiatowych, sędzia śledczy i z 7-miu strażników-policjantów oraz naczelnik Kasy Skarbowej byli Rosjanami prawosławnymi. Był też i pop Karasiew, był i psalomszczyk – śpiewak cerkiewny, jak u nas katolików organista, również był i dziad – stróż cerkiewny.

Cerkiew kilka lat po I wojnie światowej zamieniona została na kaplicę katolicką, z braku zupełnie prawosławnych, i w Łapach cerkiew po I wojnie została zlikwidowana, rozebrana z braku prawosławnych. Jedynie w Białymstoku istnieje cerkiew i parafia prawosławna do obecnej chwili.

W tymże Mazowiecku było 6 głównych dorocznych jarmarków, na które

[53]

przybywało mnóstwo różnych kupców i handlarzy z wszelkiego rodzaju towarami – odzieżowymi, obuwiem i innymi i bardzo dużo ludzi, gospodarzy z inwentarzem, zbożem, drobiem, nabiałem itp. Jarmarki jak w Mazowiecku tak w Sokołach i innych miasteczkach były akurat takie jak opisał Reymont w powieści „Chłopi”. Najbardziej były wielkie jarmarki w Mazowiecku jesienne na Wszystkich Świętych w poniedziałki, gdzie na rynku i gdziekolwiek trudno było się przecisnąć. Żydzi mieli bardzo obfite żniwo, a sklep chrześcijański był tylko jeden i dwie restauracje – knajpy, oraz kilka rzeźników wędliniarzy.

Przy samym Mazowiecku był duży dwór, majątek ziemski stanowiący własność bogacza – żyda Eliasza Frumkina zwany Zawrocie, w którym była i gorzelnia. Ten dwór miał dwa oddzielne folwarki: Zakrzewizna i Lepercizna, wielkie obszary, pola i duży las. Ten dziedzic – żyd miał fabrykę w Częstochowie i kilka kamienic. Zabudowanie gospodarskie – duże gmachy stodoły napełnione zbiorami i inne budynki od wynikłego w nocy z niewiadomej przyczyny pożaru w listopadzie 1901 roku uległ spaleni. W kilka lat później spalił się dosyć ładny stylowy, drewniany pałacyk dworski. Pożar zabudowań gospodarskich, który widziałem naocznie, był bardzo wielki i dzięki usilnej pracy zorganizowanej już miejscowej Ochotniczej Straży Pożarnej – przez wójta Moczydłowskiego, po paru godzinach udało się zlokalizować i nie dopuścić do przeniesienia się ognia na sąsiadujące domy i budynki gospodarskie wsi Zawrocie i razem zaczynające się miasto, obecnie ulica Dworska.

Przez to miasto przepływa rzeczka zwana Brok, biorąca początek w pobliżu wsi Brok, która płynie przez część powiatu Wys. Mazowieckie i cały powiat Ostrów Maz. i wpada do rzeki Bug jako spora rzeka koło miasta Brok nad Bugiem.

Wówczas w Mazowiecku była jedna szkoła początkowa, prawie taka sama jak w Sokołach, mieszcząca się w niedużym, drewnianym parterowym domu w pobliżu kościoła, na rogu ulicy Kościelnej i szosy do Zambrowa. W połowie tego domu, w dużej izbie mieściła się szkoła, a w drugiej połowie mieszkanie nauczyciela. Szkoła ta była jedna na całe miasto i część gminy, czyli parafię mazowiecką, i był tylko jeden nauczyciel, a druga taka szkoła była w Kuleszach

Kościelnych i w Jabłonce Kościelnej. Był także w Mazowiecku Sąd Gminny na obszar Mazowiecka i Szepietowa, przy którym był i adwokat Kapelewski, później sędzia w Turośli, powiatu Kolno.

Po I wojnie światowej osada Mazowieck, a właściwie w czasie wojny przez władze okupacyjne niemieckie przemianowana została na miasto Wysokie Mazowieckie i nadal powiatowe. W czasie wojny częściowo było spalone i znacznie rozbudowane, powstała nowa dzielnica, nowe murowane nawet piętrowe domy przy drodze polnej do Michałek, nowa ulica, gdzie przeniesione zostały

[54]

Urzędy Powiatowe i Sąd, a koło kościoła wybudowana ładna duża szkoła. W czasie II wojny światowej w 1939 roku prawie całe miasto, szczególnie wszystkie domy na około rynku, zostało spalone przez Niemców i obecnie znowu odbudowuje się, powstają oprócz odbudowanych już na około rynku małych drewnianych, parterowych domków i większe gmachy – domy murowane, piętrowe, nowy duży szpital na 300 łóżek i nowa dzielnica, nowych kilka ulic w pobliżu szpitala wybudowanego daleko poza miastem na polu i przy szosie do stacji kolejowej Szepietowo.

Na ulicy Długiej, gdzie była kiedyś gmina nie można znaleźć i rozpoznać tego miejsca. Gdzie była stara szkoła jest pusty zarośnięty trawą plac. Natomiast obok wznosi się duży wspaniały dwupiętrowy gmach szkoły z dużym placem. Na ulicach dawniej wyglądających jak wieś ładne nowe domy i cementowe wygodne chodniki, co widziałem naocznie, zwiedzając to miasto.

Nowa praca w Urzędzie Gminy była dosyć skomplikowana i było jej dużo, od wczesnego rana do późnej nocy, moc korespondencji trzeba było zapisać do dziennika, moc korespondencji wysyłanej codziennie ze 20–30 listów trzeba było zapisać do dziennika i do książki korespondencyjnej, zakopertować, adresować i zanieść na pocztę znajdującą się w drugim końcu miasta, około 1 km, bo stróża, czyli woźnego kulawego należałoby ręczyć i odebrać korespondencję z poczty, doręczać wszelką korespondencję, a szczególnie wezwania sądowe, których było bardzo dużo, dosyć często trzeba było jeździć na gminę w teren do oddalonych

wsi o 10 i więcej kilometrów za doręczeniem terminowych pism i wezwań i załatwieniem na miejscu różnych spraw mniejszej wagi, bo sprawy ważniejsze załatwiali starsi pisarze i sam wójt. Kancelaria była czynna i w dni świąteczne.

Corocznie po nowym roku trzeba było objeżdżać wszystkie wsie i spisywać do specjalnej księgi, czyli rejestru wszystek inwentarz żywy: bydło i konie, każdą sztukę, maść i wiek. Taki objazd i rejestracja trwała około dwóch miesięcy. W połowie marca wykazy, czyli spisy w dwóch egzemplarzach trzeba było przedstawić władzom powiatowym. Przy spisie pobierało się 1 grosz pół kopiejki opłaty asekuracyjnej od każdej sztuki, pobraną kwotę razem ze spisem wpłacało się do powiatu. Ta właśnie praca należała do mnie i musiałem ją należycie wykonać. Mając ładny charakter pisma, przepisywałem wszelką korespondencję, raporty i wykazy, oraz spisy, czyli wykazy poborowych, a czasem nawet nierzadko dawano mi do przepisu na czysto ważne papiery i wykazy z biura powiatu, bo wówczas nie było jeszcze maszyn do pisania, dużą rolę odgrywał ładny charakter pisma. Pracując w tej dużej gminie w każdym chaosie w ciągu prawie trzech lat dużo poznałem i nauczyłem się. Znam do dziś wszystkie drogi [55]

i dróżki, którymi jeździłem ode wsi do wsi, pamiętam wszystkie wioski. W wielu z nich nocowałem u sołtysów. Byłem przez sołtysów i ludność lubiany i uważany.

Osada Mazowieck była podzielona na cztery dzielnice – sołtysów: 1. ulica Długa, 2. ul. Kościelna i przyległe, 3. rynek i pozostałe ulice, a 4. wszystkich żydów, zamieszkałych w Mazowiecku.

Do tego 1900 roku nie było w Mazowiecku i całym powiecie straży pożarnej, dopiero kiedy w lecie tegoż roku wynikł pożar i spaliło się kilka domów mieszkalnych i zabudowań gospodarskich w Mazowiecku przy ul. Długiej za cerkwią, powstała konieczność zorganizowania Ochotniczej Straży Pożarnej i takowa straż staraniem wójta Moczydłowskiego i innych została zorganizowana i w końcu tegoż w 1900 roku już istniała. Strażaki mieli nowe, metalowe, błyszczące kaski, toporki i różne inne narzędzia, oraz odpowiednie mundury, co było dla mieszkańców niebywałą nowością i sensacją.

Do Straży chętnie zapisała się prawie wszystka młodzież męska rolnicza, rzemieślnicza i urzędnicza i starsi, oraz znaczna część żydów. Naczelnikiem, czyli Komendantem Straży Pożarnej był wybrany pan Judejko Cyprian, Referent Biura Powiatu, zastępcą wójt Moczydłowski, a prezesem naczelnik powiatu Koptiew Siergiej Stiepanowicz.

Przeżywałem wówczas w Mazowiecku wielką uroczystość Nowego Roku – zakończenie XIX wieku i rozpoczęcie nowego wieku XX. Zarządzono było odprawienie pewnie we wszystkich kościołach Polski uroczystych nabożeństw o godzinie 12 w nocy – rozpoczęcie nabożeństwem, okolicznościowym kazaniem i hymnem dziękczynnym *Te Deum Laudamus* nowego wieku. Na to uroczyste nabożeństwo przybyła do kościoła zorganizowana Straż Pożarna. Ładnie była śpiewana i odegrana na organach pod dyрекcją dobrego śpiewaka i organisty wójta Moczydłowskiego nowa wyuczona pieśń religijna strażacka – urywek której zapamiętałem brzmiał: „Maryjo, Przyjmij nas w opiekę swoją, o Maryjo, Matko Boska bądź matką naszą”, powtarzano po każdej zwrotce tej pieśni. Byli obecni w kościele i żydzi strażacy.

Naczelnik powiatu Koptiew jako miłośnik muzyki zorganizował w 1901 roku orkiestrę muzyki na różnych instrumentach, werbując do takowej muzykantów miejscowych i z całego powiatu przez przydział im pracy w Mazowiecku, niektórym w biurze, w policji itp. i sam był kapelmistrzem. Ćwiczenia w letniej porze odbywały się na dużym frontowym balkonie gmachu biura powiatu, co w godzinach wieczornych zwabiało całe tłumy mieszkańców miasta ciekawych słuchania tonów tej niewidzianej i niesłyszanej przez wielu muzyki. Po zorganizowaniu orkiestry takowa brała udział w ćwiczeniach odbywanych dosyć często Straży Pożarnej. Przy odbywanych marszach orkiestra szła naprzód. Dobrze zorganizowana straż pożarna zaopatrzona w niezbędne narzędzia i sprzęt dzielnie pracowała przy gaszeniu pożarów nie tylko w Mazowiecku, lecz wszędzie w okolicy, nawet

[56]

w kilkanaście lat później w Sokołach, nie dopuściła do spalenia całego miasteczka, wypaliła się tylko część – cały kwartał starych ruder w śródmieściu

naprzeciwko kościoła. Za wzorem powstałej Straży w Mazowiecku zaczęły z czasem powstawać i w innych miasteczkach, a nawet większych wsiach podobne Straże Pożarne, w mniejszym zakresie.

Z początkiem XX wieku zaczął się trochę ruch kulturalno-oświatowy, bo pamiętam w tymże 1901 roku zostało urządzone z inicjatywy władz powiatowych, a szczególnie Naczelnika powiatu święto sadzenia drzew w Mazowiecku, na które zjechały szkoły i uczące się w nich dzieci z całego powiatu z nauczycielami tych szkół, a wszystkich szkół początkowych w powiecie było 16, tyle, ile było wówczas parafii katolickich i tylu nauczycieli, a żadnych innych szkół nie było oprócz chyba w Łapach, a może i w Hodyszewie dla dzieci prawosławnych. Miejscowa orkiestra nie była jeszcze zorganizowana, bo przegrywała orkiestra pułkowa sprowadzona z Zambrowa.

Później co roku były urządzone podobne święta za mojej pracy w Mazowiecku, w następnym 1902 roku było urządzone jakieś święto na wiosnę w maju i zjazd wszystkich szkół i była wielka zabawa – majówka w lesie majątku Michałki – 2 km od Mazowiecka. Po zasadzeniu drzewek na drodze wiodącej do Michałek – zabawa trwała od wczesnego popołudnia do nocy, przez cały czas grała miejscowa powiatowa orkiestra, był bufet z napojami chłodzącymi, zakąskami i słodyczami. Pospieszyła tam prawie cała ludność miasta, oprócz starych, a także z okolicznych wsi.

Zorganizowana Straż Pożarna urządzała duże zabawy karnawałowe zaraz po świętach Bożego Narodzenia, na których bawili się wesoło strażacy z rodzinami i wszyscy mieszkańcy miasta, kto tylko chciał. Wstęp był wolny dla wszystkich, przez całą noc prawie do rana przegrywała orkiestra. Na takich zabawach nie było żadnych zajść – pijaństwa i chuligaństwa, kłótni i awantur. Pan naczelnik powiatowy po zorganizowaniu orkiestry urządzał co pewien czas u siebie towarzyskie zabawy taneczne w sali komisji poborowej, na które zbierała się śmietanka miejscowa inteligencja i okoliczni ziemianie i inni.

Proboszczem i dziekanem na cały powiat – dekanaty wówczas były na małe terytorium powiatu – był ksiądz Marcin Dyczpinigajtis z pochodzenia Litwin, nawet po litewsku zaciągał. Jak zacząłem w Mazowiecku pracować, to ładny dom

plebanii, który jest obecnie jak nowy, był już wykończony, nie było tylko drzew tych dużych, co są obecnie przed frontem domu. Wikariuszem był wówczas młody przystojny, wysoki ksiądz Ostrowski. Głos miał dobry, donośny, podobny jak ksiądz w Łomży – Pogorzelski. Obecnie, kiedy piszę ten pamiętnik i zwiedzałem niedawno miasto Wysokie Mazowieckie z okazji odpustu na Świętego Rocha, proboszczem i dziekanem jest ksiądz kanonik Józef Roszkowski, a starszym wikariuszem i zastępcą dziekana jest ksiądz Marian Truskolaski, mój syn, który jest i kapelanem szpitala. Pracując na stanowisku młodszego pisarza gminnego w Mazowiecku w

[57]

ciągu 2 1/2 lat, mając wynagrodzenie za pracę około 15 rubli miesięcznie, 10 rubli pensji i około 5 rubli drobnych dochodów, sprawiłam sobie niezbędne ubranie letnie i zimowe, obuwie i bieliznę, w ogóle wszystko, co potrzeba było mieć i zaoszczędziłam około 100 rubli gotówki, z której dałam ojcu 80 rubli w końcu karnawału 1903 roku, potrzebne na kupno wołu i inne potrzeby w gospodarstwie.

Przyszedł wówczas do mnie przesłany przez rodziców młodszy brat Władysław, zapraszając na przyjazd do domu na ostatki, więc zwolniłem się z pracy na 2 dni, pojechałem furmanką stojkową urzędową, bo stale dwie furmanki nakazywane kolejno musiały codziennie być na wszelkie rozjazdy i potrzeby urzędu gminnego i jeden pieszy posłaniec. Ten tryb powinności później w niektórych gminach został zmieniony na wpłatę pieniężną i wójt czy sekretarz korzystał z furmanki najemnej lub odbywał podróż do powiatu i w terenie gminy własną furmanką. Takie i inne zmiany nastąpiły dopiero po odzyskaniu niepodległości, po I wojnie w wolnej Polsce. Na ważniejsze święta i odpusty przyjeżdżałem do domu i w odwiedziny do rodziców i rodzeństwa co pewien czas.

W czasie wyżej wymienionej pracy zdarzały się godne zanotowania wypadki w terenie gminy, mianowicie: w marcu 1902 r. we wsi Kalinowo Czosnowo dokonano kradzieży wołu u gospodarza Leopolda Kalinowskiego, który skoro rano zauważył kradzież, pobiegł z dwoma synami i sąsiadami do miejscowego złodzieja podejrzanego o kradzież wołu Kuleszy Józefa nazywanego z przezwiska, czyli przydomku „Kiepcyk”, którego złapali i zaraz



jeszcze śpiącego drugiego złodzieja z tejże wsi Konstantego Kalinowskiego, których bezlitośnie bili – pastwili się nad nimi w nadzwyczajny sposób, bez sprawdzania czy byli winni dokonania kradzieży i za tym inni pobiegli do sąsiedniej wsi Chojane Pawłowieża i tam złapali trzeciego złodzieja, którego bijąc, sprowadzili do tamtych i wszystkich niemiłosiernie bili, a zbiegła się momentalnie cała duża wieś, licząca ponad 30 domów. Dotąd bili aż zabili. Zabitych lub dających słabe oznaki życia położyli na furmankę i sołtys przywiózł ich do urzędy gminy do wójta rano około godziny 9. Wójt wezwał policję, zawiadomiono sędziego śledczego i sprowadzono lekarza powiatowego. Stwierdzono śmierć 2-ch, tj. Kuleszy i Kalinowskiego, a 3-ci Paweł Choiński odżył, nie doznał w czasie bicia śmiertelnych uszkodzeń i po pierwszym niedługim czasie wyzdrowiał. Nie pamiętam, czy ukradziony wół znalazł się i czy zabici byli sprawcami kradzieży. Winni i podejrzani dokonania zabójstwa w tymże dniu zostali aresztowani i osadzeni w areszcie około 12 osób, z których w czasie prowadzonego śledztwa większość została zwolniona, pozostałych 4 czy 5 po zakończeniu

[58]

śledztwa odwieziono do więzienia w Łomży. Za kilka miesięcy była sprawa i doręczałem osobiście we wsi każdemu z wezwanych na sprawę duże wezwania. Sąd okręgowy w Łomży ukarał winnych zabójstwa na pięć lat więzienia: ojca i syna, którym skradziono wołu, innym dwom czy trzem mniej winnym wymierzono mniejsze kary.

Drugi wypadek był w marcu 1903 roku. Istniał podobno z dawna spór o paśnik między wsiami Gołasze Dąb, kuleskiej parafii i Sanie Dąb kołakowskiej parafii powiatu Łomża. O ten paśnik pewnego dnia wynikła bójka pomiędzy gospodarzami jednej i drugiej wsi, na krzyk i alarm zbiegli się prawie wszyscy mieszkańcy obu dużych wsi, w wyniku czego został zabity spokojny, dobry gospodarz wsi Gołasze Dąb Władysław Modzelewski, który kilka dni przed wypadkiem był na odbywaniu stójki i woził mnie po gminie, zaś kilka osób odniosło cięższe lub lżejsze obrażenia. Aresztowanych i osadzonych w areszcie

było kilkanaście osób. Jaki był wynik sprawy, nie wiem, bo w miesiąc czy więcej po tym wypadku przestałem tam pracować, przechodząc do sądu w Sokołach.